

WSPOMNIENIA

Profesor Jan Samsonowicz, karbon lubelski i sylurskie łupki

Te wspomnienia sprzed ponad pół wieku pisałem przed laty, ale aktualizuję je obecnie. Działo się to więc 58 lat temu, w lecie. Jako młody pracownik Państwowego Instytutu Geologicznego opiekowałem się, czy – jak mówiło się wówczas językiem urzędowym – „nadzorowałem”, głęboki otwór wiertniczy o nazwie Chełm IG1. Było to wiercenie „oporowe”, którego celem było poznanie paleozoiku tej części Polski, w tym rozpoznanie karbonu węglonośnego. Otwór zaprojektował i lokalizację wyznaczył profesor Jan Samsonowicz, odkrywca karbonu nadbużańskiego jeszcze przed 1939 rokiem. Otwór głębiony był na północnej peryferii Chełma. Przyjeżdżałem tam z Warszawy dwa razy w tygodniu pociągiem bądź służbowym samochodem. Byłem zaledwie kilka lat po ukończeniu geografii w Uniwersytecie Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie. Wysłuchałem tam wykładów geologii prowadzonych przez docenta Konrada Koniora. Przedstawiał on stan rozpoznania budowy geologicznej Polski jeszcze sprzed 1939 roku. Kilka lat po zakończeniu wojny nie mogło być inaczej. Ale już wówczas badania budowy geologicznej naszego kraju realizowane były z wielkim rozmachem.

Od początku pracy w PIG uczyłem się bardzo intensywnie geologii Polski, zwłaszcza wschodniej, a także geologii obszaru na wschód od naszych nowych granic.

Kiedy wiercenie w Chełmie osiągnęło już karbon, mój szef, a wówczas był nim profesor Władysław Pożaryski, oznajmił mi, że profesor Samsonowicz chce sprofilować cały wydobyty rdzeń na miejscu głębienia otworu. Należy mu zatem przygotować całą wyprawę. Z profesorem ma jechać pani docent Krystyna Korejwo. Staralem się przygotować wszystko jak najlepiej. Zadbalem szczególnie o oczyszczenie rdzenia karbonu. Kierownik wiercenia zobowiązany był do przynajmniej 80-procentowego uzysku rdzenia ze skał starszych od kredy. Kiedy osiągnięty został karbon i pojawiły się warstwy węgla, kierownik w trosce o zachowanie całości rdzenia skrzynki zaczął chować pod swe łóżko. Minimalne zresztą braki w rdzeniu uzupełniał bardzo pomysłowo, kładąc do skrzynek kawałki gleby typu rędziny. Wyglądało to nawet przekonująco, gdyby nie fakt, że z głębą dostawały się kawałki beczelnie widocznej, miejscami zielonej trawy. Tego rodzaju działania kierownika wiercenia udało mi się w ostatniej chwili zlikwidować.

Przyjechaliśmy do Chełma wieczorem i rano następnego dnia byliśmy na wierceniu. Profesor nazywał mnie naczelnikiem. Przez chwilę nie miałem pojęcia dlaczego, ale pani docent objaśniła mi po cichu, że to tytuł jeszcze sprzed wojny i że przecież nie mogłem być zwykłym pracownikiem PIG, skoro do towarzyszenia profesorowi Samsonowiczowi oddelegował właśnie mnie profesor Pożaryski.

Kilkaset skrzynek było już rozłożonych i zaczęła się robota, jak się szybko przekonałem – bardzo ciężka robota. Profesor bezlitośnie tłukł młotkiem rdzeń w każdej po kolei skrzynce, pani docent pisała, co jej dyktował, a ja głównie obserwowałem, jak wygląda praca w terenie mistrza i sławy polskiej geologii. Byłem tym wszystkim bardzo przejęty, a nawet zafascynowany. Z ust profesora padały

zdania tak sformułowane, że od razu, bez żadnej korekty nadawały się do druku. Szybko przeleciał przez mezozoik, czyli głównie kredę. Kiedy dotarł do karbonu, wyraźnie się rozluźnił, ogłosił przerwę, do skrzynek poprosił panią docent i oboje długo rozmawiali. Dziś mogę ocenić tylko, co wówczas profesor odczuwał, jak wielką satysfakcję przeżywał, kiedy po kilkunastu latach zobaczył na Lubelszczyźnie to, co dawniej odkrył nad górnym Bugiem.

Zaczęli pracować dalej. Karbon był litologicznie dość monotony. Pojawiały się wkładki węgla. Niżej natomiast zauważyliśmy zwiększający się udział łupków o pięknym, srebrzystym zabarwieniu. Wszystko to było efektowne. Dalej łupki zmieniły barwę na nieco ciemniejszą. Profesor niezmiennie dyktował i określał wiek, powtarzając co chwila: karbon taki i taki. W pewnym momencie pani docent wzięła do ręki kawałek potłuczonego rdzenia, po chwili następny i cichutko, trwożliwym głosem mówi mi do ucha: „Przecież tu są graptolity! Co mam zrobić?”. Co ja mogłem jej odpowiedzieć? Nie pamiętam co. Ale pamiętam, jak po chwili delikatnie, pytającym głosem, pokazując próbkę rdzenia, oderwała profesora od profilowania: „Panie profesorze, czy to nie jest podobne do graptolitu?”. Ten spojrział na próbkę, potem na panią docent i bez namysłu zaczął ją besztać, że tak długo nie zwróciła mu uwagi, iż profiluje sylur, a nie karbon! Tę scenę pamiętam dokładnie. Pani docent zachowała się tak, jak powinna, spokojnie i ze zrozumieniem, może przyzwyczajona była do takiego besztania. Profesor zachował się też właściwie, jak profesor – miał przecież na kogo rzucić winę za chwilę swej nieuwagi. A ja sam skorzystałem najwięcej, poznając wielkiego profesora przy pracy w terenie, poznając jego współpracownicę. Ale też poznając trochę geologii. Przecież ten starszy paleozoik był tak podobny do karbonu pod względem litologicznym, że nawet wielki specjalista mógł się pomylić. A że profesor nie zauważył graptolitu? Wiadomo – w wielu przypadkach kobiety są bardziej uważne i dokładniejsze. I być może dlatego tak wiele z nich odnosi wielkie sukcesy w paleontologii. Wiem coś o tym, bo jedna z nich była przez lata moją drugą, po profesor Marii Turnau-Morawskiej, szefową – kobietą. Dziś jest cenionym palinologiem, ale też doskonałym organizatorem. Nie muszę pisać, o kogo chodzi. Wystarczy, że ona o tym wie – prawda Joanno?

Piszę to krótkie wspomnienie w przekonaniu, że jest nadal aktualne. Przecież dzięki profesorowi Samsonowiczowi mamy dziś „Bogdankę” koło Łęcznej, a w samym profilu wiertniczym Chełm IG1 ten wielki uczyony po raz pierwszy w tej części naszego kraju stwierdził łupki sylurskie, tak ważne dziś w perspektywie rozwoju gospodarki całej Polski. Profesora od wielu już lat nie ma między nami, profesor Krystyna Korejwo odeszła bardzo niedawno. Niechaj to krótkie wspomnienie stanie się pisany wyrazem mego wielkiego szacunku dla obu tych uczonych. A tego jakże pouczającego chełmskiego epizodu nigdy nie zapomnę.

Józef Edward Mojski